ROK 1.

Ner 39.

WARSZAWA,

Dnia 17/29 Września 1866 r.



PISMO NIEDZIELNE
DLA LUDU MIEJSKIEGO I WIEJSKIEGO.

W WARSZAWIE:	NA PROWINCYI W KRÓLESTWIE:	W CESARSTWIE:
Rocznie . . rs. 1 k. 80 (Złp. 12).	Rocznie . . rs. 2 k. 42 (Złp. 16 g. 4).	Rocznie (z kopertą) rs. 4 k. 42 (Złp. 29 gr. 14).
Półrocznie . „ — „ 90 (Złp. 6).	Półrocznie . „ 1 „ 21 (Złp. 8 g. 2).	Rocznie (bez koperty) rs. 2 k. 42 (Złp. 16 gr. 4).
Kwartalnie. „ — „ 45 (Złp. 3).	Kwartalnie . „ — „ 60½ (Złp. 4 g. 1).	Półrocznie, połowa tegoż.

Prenumerować można Zorzę: w Warszawie w Redakcyi Nr. 1582 lit. D. ulica Aleje Jerozolimskie, w Drukarni K. Kowalewskiego przy ulicy Królewskiéj i we wszystkich Kantorach Gazet; a na prowincyi w Królestwie po Stacyach pocztowych.

RĘKA BOŻA.

POWIASTKA,

ADELI CLÉRET.

TŁOMACZONA Z FRANCUZKIEGO

Przy jednéj z ulic w bliskości placu Bastylyi, istniała w r. 1825 fabryka, zwracająca uwagę szczególniejszym porządkiem i działalnością. Właściciel jéj nazywał się Franciszek Fernej. Był to sobie stary kawaler, wierny zawsze swym nawyknieniom, skromny w żądaniach, i chociaż bogaty, niezmiernie oszczędny w wydatkach; zresztą zwierzchnik bardzo łagodny, dobry krewny; rady jego lub protekcyj można było śmiało zasięgać w ważnych rzeczach.

Domek, który zajmował, był napozór dosyć ładny, dziedziniec obszerny, w głębi którego widać było stajnie, a u góry strych na siano. Na murze zaś ciągnącym się wzdłuż alei była wymalowana ręka, która wskazywała gościom drogę do warsztatów i magazynu. Schody czyste i wygodne, prowadziły na pierwsze piętro, gdzie pan domu urządził sobie kancellaryę i mieszkanie. Jeśli ktoś z familii do niego przyjeżdżał, co się zdarzało kiedy niekiedy, to zajmował mały pokoik na drugiem piętrze w bliskości dwóch jeszcze mniejszych, stanowiących mieszkanie Piotra Bernarda. Ten ostatni mieszkający tam ze swoją młodą żoną i małą córeczką od siedmiu do ośmiu lat mającą, był rzemieślnikiem i zarazem poufnym p. Ferneja; spełniał on na raz kilka zleceń, bez szemrania, bez gniewu, zawsze z wielką dokładnością. W fabryce był od rana do wieczora, pracując wspólnie z innymi rzemieślnikami; nadto był obowiązany czuwać nad nimi, aby zdać sprawę przed panem, cokolwiek działo się w fabryce przez dzień cały. Piotr przyjął z pewnym wstrętem tak drażliwe stano-

wisko dla szlachetnego człowieka; ale, ponieważ nie był ani złośliwym, ani dumnym, ani rozpustnym, ani niezdolnym więc współpracownicy mieli doń zaufanie, i widzieli w nim dobrego towarzysza. Jedynym tylko człowiekiem z całéj fabryki, który mu nieco zazdrościł, był brat jego rodzony Julian, rzemieślnik taki jak on. Ta nieżyczliwość martwiła więcéj niż gniewała Piotra. Od młodości był sam sobie oddany, sam się kształcił, umiał czytać, pisać i rachować, pracował prędko i dobrze; prawość wyrównywająca pojętności była ocenianą, jak na to zasługiwała. Skoro pan Fernej wyjeżdżał lub wychodził za jakiemi interesami na miasto, Piotr był obowiązany przyjmować klientów, uskuteczniać wypłaty, słowem zastępował go w czasie niebytności. Każdéj chwili mógł wchodzić do kancellaryi pana swego za pomocą klucza mu powierzonego. We dnie Piotr chował zwykle ten klucz do kieszeni, wieczorem zaś zawieszał go na kominku w małym pokoiku, gdzie zostawał spokojnie aż do następnego dnia. A kiedy pan jego był jeszcze pogrążony w głębokim śnie, Piotr cichuteńko wchodził do jego pokoju, zamiatał, ścierał kurz, czyścił ubranie i bóty, nalewał wodę w naczynia, kładł drzewo do kominka, czystą bieliznę do szaf; gdyż nie tylko że był robotnikiem ale jeszcze i służącym pana Ferneja. Przy zmierzchu każdego dnia, po zamknięciu fabryki, Piotr przynosił mu duże ciastko drożdżowe jeszcze ciepłe i nalewał pół butelki wina w kubek srebrny skromnie rzeźbiony; była to wieczerza starego kawalera, a obiady jadał w restauracyi.

Jednego dnia wieczorem, a było to w miesiącu Lutym, załatwiwszy już wszelkie swoje różnorodne czynności, Piotr przyszedł według zwyczaju do domu, by powiesić klucz od kancellaryi swego pana na gwoździu przy kominku. Chciał jeść wieczerzę, ale żona jego tak bardzo zajęła się szyciem, że się zupełnie z nią zapóźniła; w skutek tego zgromił ją trochę i wyszedł w zupełnie złym chumorze, zapowiadając, że wróci za godzinę. Dobra i czuła gosposia wzruszona wymówkami swego męża, zarzuciła prędko chustkę czarną na siebie i wyszła szybko po chleb i mąkę potrzebną do wieczerzy. Z tego pośpiechu zostawiła drzwi otwarte za sobą; idąc przez sień, przebiegła około pokoiku położonego prawie naprzeciw ich mieszkania,—pokoiku, jakeśmy już powiedzieli, który p. Fernej przeznaczał zawsze dla gości, a obecnie był zajęty przez pana Werriera, jedynego siostrzeńca pana Ferneja, zamieszkałego o kilka mil od Paryża, który dość często odwiedzał swego wuja. Czy p. Werrier był w domu lub nie, nic to panią Bernardową nie obchodziło. Z resztą późna pora nie pozwalała jéj dojrzeć, że drzwi jego pokoju były uchylone. Skoro tylko kroki jéj zupełnie ucichły, drzwi od pokoiku p. Werriera otworzyły się bez najmniejszego szmeru i on sam pokazał się na korytarzu; idąc wprost do mieszkania Piotra Bernarda, zastał w niem tylko małą dziewczynkę robotnika. Wesoła i swobodna jak ptaszek, śpiewała, szczebiotała, i skakała sama jedna w pokoju.

— Jak się masz Klemeńciu, zagadnął pan Werrier.

Pobiegła ku niemu; wziął ją na ręce, pocałował, nawet i popieścił troszkę, a wzrok jego przez ten czas błądził po całym pokoju, aż nareszcie zatrzymał się na kominku, nad którym wisiało kilka sztychów wyobrażających kuszenie św. Antoniego, św. Genowefę w lesie, i śmierć Poniatowskiego. Wstał wkrótce niby w chęci przyjrzenia im się zbliska i ręka jego machinalnie dotknęła miejsca, w którém wisiał klucz p. Ferneja. Mała dziewczynka ciągle się śmiała i skakała, a pan Werrier, trzymając klucz silnie w prawéj ręce, przystąpił do niéj, uścisnął na pożegnanie i wrócił do siebie. Klemunia znów została sama. Zbliżyła się do pieca, gdzie przygrzewała się jakaś zupa, i pomimo zastrzegania matki, aby się wcale do gotowania nie wtrącała—jednak mały trzpiotek zanadto ufała swemu rozumowi, i chcąc drzewo w piecyku poprawić, przewróciła ryneczkę z jedzeniem i wszystko wylało się na jéj ubranie; szczęście, że było więcéj strachu niż bólu.

Matka powróciwszy, skarciła ją za to nieposłuszeństwo, z czego się biedaczka rozpłakała i zapomniała zupełnie o krótkich odwiedzinach p. Werriera.

W godzinę potem Klemunia już spała; ojciec jéj siedząc jeszcze przy stole, gawędził z żoną, gdy siostrzeniec pana Ferneja zapukał do drzwi.

— Piotrze, powiedział tenże, interesa wymagają koniecznie mego wyjazdu, z wujem już się pożegnałem i wyjeżdżam téj nocy o drugiéj go-

dzinie; miéj staranie o moim koniu i koczyku, aby był gotów do podróży.

— Bądź pan spokojny odrzekł Piotr, rozkaz pański będzie spełniony. Poczem odszedł pan Werrier z miną człowieka pragnącego kilka chwil spoczynku.

— I znów noc bezsenna! rzekła z westchnieniem żona Bernarda.

— Cóż chcesz, mówił Piotr, spać nikt ci nie przeszkadza, a za moją fatygę będzie datek na piwo.

Mała Klemunia, która się właśnie w téj chwili obudziła, zaczęła na nowo swoje szlochania, usłyszawszy głos ojca.

— No, no, uspokój się, malutka! rzekł ojciec, zaczynasz mnie niecierpliwić; jeżeliś usłyszała burę za to, żeś ruszała rynkę, to dla tego, żeśmy się bali, aby ci się jakie nieszczęście nie przytrafiło. Na przyszłość bądź posłuszniejsza. Jeśli będziesz grzeczna i to bardzo grzeczna, rozumiesz, to jutro pójdziesz razem ze mną zanieść podwieczorek panu Fernejowi.

Malutka zaraz umilkła; za każdem bowiem widzeniem starego kawalera dostawała od niego kawałek ciastka, a czasem do tego stopnia dochodziła jego wspaniałomyślność, że jéj dawał kilka kropel wina skosztować. Wówczas radość dziecka była nieporównaną, rączyny drżały jéj z radości, gdy niosła do ust ów kubek, ów złoty kubek, który porównywała w swéj młodéj wyobraźni do największych w świecie kosztowności. Dla tego téż obietnica, którą jéj ojciec powiedział, osuszyła zaraz jéj oczęta; powróciła spokojność, a wkrótce téż i zasnęła, marząc o jutrzejszéj przyjemności. Już pierwsza godzina uderzyła na zegarze; niebo było pokryte ciemnemi chmurami, głęboka cichość panowała w całym domu. I podczas kiedy właściciel i inni mieszkańcy odpoczywali po całodziennych zatrudnieniach, Piotr Bernard z latarnią w ręku zajmował się spełnieniem rozkazów danych mu wprzeddzień, przez siostrzeńca jego pana.

Wytoczył powóz, poznosił rzeczy potrzebne do zaprzęgu, poczyścił je, konia wytarł, wody naczerpał do wiadra, napoił go, dał mu porządną porcyę owsa, a w końcu zaprzągł. Zegar wieżowy uderzył drugą, gdy p. Werrier, trzymając walizkę pod pachą, zszedł na dziedziniec, zbliżył się do Piotra i rzekł:

— No, mój przyjacielu, czy wszystko gotowe?

— W téj chwili właśnie chciałem pójść do pana, aby znieść torbę podróżną, ale widzę, że się pan sam trudziłeś. Pozwól pan, niech....

— Dobrze, dobrze, Piotrze, powiedział pan Werrier, przerywając mu, i wrzucając sam walizę do powozu.

Jednocześnie wsunął mu w rękę jakiś pieniądz, za który Piotr podziękował, i pobiegł zbudzić stróża, aby bramę otworzył. Skoro powóz wyruszył, odźwierny poprosił Piotra do swéj izdebki.

— Zapewne ci zimno, rzekł mu stary sługus, szklanka wina rozgrzeje cię.

— Dziękuję, odpowiedział robotnik, spieszy mi się gwałtem do łóżka, a pijąc nocą, popsułbym sobie żołądek.

— Ach! ba! wykrzyknął odźwierny z wyrazem twarzy na pół zdziwionym, na pół markotnym, czyż się to ludzie nie pokrzepiają każdéj chwili.

Ale Piotr go nie słuchał, i poszedł do siebie, nie zatrzymując się wcale.

Stróż zamknął lufcik i położył się spać, gdyż zaledwie parę godzin miał na spoczynek. Od szóstéj z rana nasz odźwierny, uzbrojony dużą szczotką, szedł wolnym krokiem na schody; zaledwie wszedł na pierwsze piętro, zatrzymał się z przestrachem, przededrzwiami kancellaryi... stopy krwawe były wyciśnięte na podłodze... poszedł w ich kierunku aż na drugie piętro, tam kroki zwróciły się w stronę komórki ciemnéj, w któréj Piotr Bernard miał skład drzewa; inne zaś w odwrotnym kierunku prowadziły do mięszkania robotnika; a zatem ów ślad należał do osoby, która weszła do tego mieszkania. Podniosłszy oczy stróż, spostrzegł na drzwiach Piotra Bernarda znaki od palców zakrwawionych, które zdawały się błądzić po nich, szukając klamki w ciemności. Przyjrzawszy się dobrze tym znakom, zszedł obarczony najokropniejszem przeczuciem; pierwszem jego zajęciem było zadzwonić do mieszkania pana Ferneja, ale mógł śmiało oberwać sznurek, — nikt mu nie przyszedł otworzyć, żaden głos nie dał się słyszeć zewnątrz; milczenie takie przebrało miarę jego niespokojności; pobiegł nieledwie obłąkany do Komisarza cyrkułu. Zeszedł tenże na miejsce w téj chwili, otoczony kilku policyantami. Kie-

dy urzędnik policyjny przyjrzał się stopom i palcom zakrwawionym, kazał następnie otworzyć dzwi od małéj komórki, gdzie przy samém wejściu, na stosie wiorów leżał klucz jakiś, a stróż zaraz go poznał, że był od kancelaryi. Inne poszukiwania w tem samem mejscu poprowadziły do znalezienia worka płóciennego, który był naznaczony dużemi literami F: F; zawierał on w sobie tysiąc franków gotówką. Gdy zszedł ze schodów komisarz, zwrócił się w kierunku kancellaryi będącéj na pierwszem piętrze, bez najmniejszéj trudności otworzył ją znalezionym na wiórach kluczem; tam znów dały się widzieć stopy zakrwawione na podłodze, które doprowadziły go aż do pokoju sypialnego, gdzie przy łóżku odkrytem i rozrzuczonem leżało nieżywe ciało p. Franciszka Ferneja, okrytego nocnem ubraniem; był blady, zmieniony, czaszkę miał rozpękniętą, łańcuch żelazny leżący przy trupie zapewne słażył za narzędzie zbrodni. Nieład straszny panował w całym pokoju. Biurko otwarte i wszystko w niém poprzewracane, pugilares safianowy, w którym zwykł był chować bilety bankowe, zupełnie wypróżniony; nareszcie ów kubek złoty tak pięknie rzeźbiony znikł zupełnie.

Zagadnięty przez komisarza stary odźwierny, opowiedział mu, że klucz od kancellaryi był powierzony jedynie Piotrowi Bernardowi i ten nosił go zawsze przy sobie. Opowiedział mu wypadki zaszłe ostatniéj nocy, i jak uporczywie opierał się Piotr, aby nie wejść do jego izdebki. Po tych zeznaniach, udali się natychmiast do Piotra Bernarda; żona jego zajęta była myciem podłogi, co zwkle robiła każdego tygodnia; robotnik zaś łóżka swego jeszcze nie opuścił, spał nawet dość mocno, zmęczywszy się dnia poprzedniego. Lecz sen tak przedłużony zrodził tem większe podejrzenie; komisarz bowiem z policyantami, chodząc często po schodach, sprawiał niezwykły hałas, a powtóre że Piotr każdego innego dnia był oddawna na nogach. Zbudzili go, aby się wypytać: był zrazu bardzo zdziwiony; skoro go zapytali o klucz do kancellaryi, którego był zachowawcą, odpowiedział spokojnie, że był zawieszony na gwoździu w pierwszym pokoju przy kominku. Zaprowadzili go tam i nie znaleźli; zdawało się Piotrowi, że zapomniał wyjąć go z kieszeni; zaczął więc szukać, przewracać kieszenie na różne strony, wszystko było naprożno...

Zdziwienie, które okazywał, zdawało się być tylko zręczną obłudą i oszustwem w oczach urzędnika policyi. Przytrzymany w imieniu prawa Piotr, był wzięty zaraz jako nikczemny morderca. Żona chciała pójść za nim, ale ją silnie odepchnięto; i kiedy po pierwszem wzruszeniu, które odjęło jéj całą władzę i moc duszy, wróciła do pokoju, gdzie spoczywała Klemunia, na wyciągnięte do niéj rączyny i słodki uśmiech dziewczęcia odpowiedziała gwałtownem łkaniem.

Dzięki uczciwości Piotra przodków, prawości i pobożności przeszłego sprawowania się jego, że uniknął kary śmierci; ale za to skazany był do robót na galery na czas wieczny. Wyrok ten raził jakby piorunem nieszczęśliwą żonę robotnika, która ani na chwilę nie wątpiła o uwolnieniu obwinionego. Wychowana przez uczciwych rodziców, pobożna i pracowita, całem sercem była oddana swemu mężowi, i w niewinność jego zupełnie wierzyła. Widziała się nazawsze z nim rozłączoną, czarne myśli ogarnęły całą jéj istotę; siedziała dwie godziny w kącie ciemnego pokoju, pochylona z oczami smutnie spuszczonemi w ziemię, nie mówiąc słowa i tylko wtenczas się poruszyła, gdy przyciskała Klemunię do swego serca, łzami ją oblewając.

— Módl się, drogie dziecię, ciągle za ojca, mówiła ona dnia jednego, nie przestawaj błagać Opatrzności, póki nie wyjaśni sprawiedliwości ludzkiéj i rozproszy pomyłkę, któréj jesteśmy ofiarą. Cokolwiek się stanie, choć daleką jest godzina pociechy, nie upadaj na duchu, i wierz w przeczucie matki twéj umierającéj; dzień zabłyśnie, w którym nazwisko Piotra Bernarda będzie przywrócone do czci i sławy w oczach świata!

Pewnego poranku rzekła pani Bernardowa do swéj córki:

— Droga Klemuniu! téj nocy uczyniłam sobie ślub, jesteś może za młoda i za słaba, aby go wraz z matką swoją wykonać, ale rozsądek twój wyprzedził lata, i miłość twoja dla mnie doda ci siły, aby iść wspólnie w daleką podróż, którą zamierzyłam odbyć, zanim przeniosę się do wieczności.

— O, kochana Matko! zawołało dziecko, co mnie obchodzić może odległość lub inne przeszkody? gdziekolwiek mnie zaprowadzisz, będę szczęśliwą, aby tylko Bóg nas nie rozłączył.

— Słuchaj więc, moja córko: W bliskości wioski, w któréj się urodziłam w małem miaste-

czku Albert w Pikardyi, jest obraz od wieków Matki Bozki czczonéj pod nazwiskiem, Matki Bozkiéj Brebierskiéj (*).

Strapieni i kaleki, ci którzy cierpią na duszy i ciele przechodzą czasem i trzydzieści mil drogi błagać Jéj pośrednictwa, i nigdy Ją napróżno nie proszą; pociesza jednych, uzdrawia drugich, a każdemu dodaje więcéj siły do zniesienia ciężaru. Dla tego téż, najdroższy Aniołku, opóścimy Paryż na krótki czas, aby się udać pieszo do miasteczka Albert. Tam padłszy na twarz, będziemy prosić Pocieszycielki strapionych, aby wyrwała twego ojca z przepaści, w którą wtrąciła go sprawiedliwość ludzka; łzy żony i dziecięcia rozczulą serce Najświętszéj Matki, usłucha głosu naszego, i....

— Iźdmy, mateczko, iźdmy! wołała Klemunia, niech nas nic nie wstrzymuje. O, tak, masz słuszność, mateczko: Ta, która widziała konającego Syna swego na krzyżu, będzie miała litość nad niewiastą opłakującą swego męża, nad dziecięciem opłakującém swego ojca.

W kilka dni potem pami Bernardowa, chociaż cierpiąca i słaba, udała się w podróż w towarzystwie swéj małéj córeczki. Żyjąc bardzo skromnie, bo tylko chlebem i wodą, szły dnie całe, a przy schyłku każdego dnia prosiły o przytułek w jakim ubogim folwarku. Droga dla pieszych jest bardzo daleka z Paryża do Albert. Podczas całéj pielgrzymki młoda Klemunia była aż do zachwycenia wytrwałą i silną. Czasami jednak na ślicznéj twarzyczce malowało się zmęczenie; ale chcąc zapewnić matkę, że tak nie było, rozjaśniała swe wyniosłe czoło i śmieléj iść zaczynała.

Żadna skarga, żadne westchnienie nie dało się słyszeć z jéj dziecinnych usteczek, pomimo deszczu i wiatru, przemoczona nie raz do nitki, Klemunia zawsze z równem zadowoleniem na matkę swą spoglądała, zawsze uśmiech igrał na jéj twarzycze, a pani Bernardowa przytulała ją do swéj piersi, całowała i pieściła, powtarzając ciągle: „nadzieja w Bogu".

Nareszcie przybyły do miasteczka Albert; udały się zaraz w stronę kościoła, gdzie wisiał obraz prześliczny Matki Boskiéj. Padły przed ołtarzem na kolana, ze schylonem czołem i rękami złożenemi, i tak długo — długo były w postawie udręczenia i boleści. Nigdy tyle łez nie upadło u stóp świętego ołtarza, nigdy tyle próśb gorących nie wyszło z serc niewinniejszych i więcéj ufających. Namodliwszy się już do woli, nieco mocniejsze, mając skaplerze w ręku, szły z powrotem do Paryża i również szczęśliwie przybyły.

Skoro znalazły się już w domu, żona nieszczęśliwego Piotra wyczerpawszy resztę sił swoich, położyła się w łóżko, aby z niego nie wstać więcéj. Mówiono sobie, że Pan Bóg tyle jéj siły jeszcze użyczył, aby spełniła swój ślub i aby bez nadziei nie umierała.

Ostatniéj godziny, zebrawszy resztę mocy, aby pożegnać swoją Klemunię, głosem słodkim powtórzyła jéj swoje przestrogi i napomnienia, powtórzyła jéj raz jeszcze, aby nie wierzyła tym, którzy obwiniają jéj ojca o tak straszną zbrodnię, któréj nigdy nie popełnił, „ufaj w Bogu, miéj w Nim nadzieję, błagaj dnia każdego przy modlitwie szczerze i gorąco, a zobaczysz, moje dziecię, zobaczysz, że doczekasz się dnia, w którym będzie ci powrócony.

Wymawiając te słowa, wyciągnęła wyschłe ręce nad nieszczęśliwą, zrozpaczoną Klemunią, aby ją pobłogosławić; lecz głowa opadła jéj na poduszkę, oczy się przymknęły i ostatnie tchnienie uleciało z jéj piersi.

— Moja matko! mój ojcze!.. krzyczało dziecko obłąkane na tak straszny widok, sierota opuszczana... Boże ratuj mnie! Boże, ulituj się nademną, Matko najświętsza! Matko!...

Żaden głos nie odpowiedział na jéj rozpacz, żadna ręka nie przyszła osuszyć jéj łez. Odtąd Klemunia była sama na ziemi, bez pociechy, bez podpory, narażona na wszelkie obelgi i wzgardy, które ścigać mają wszędzie córkę galernika.

Kilka lat upłynęło od czasu tajemnego morderstwa starego kawalera. Siostrzeniec jego pan Werrier został spadkobiercą całego majątku; niebawem też przybył do Paryża zająć nowe swoje pomieszkanie i objąć fabrykę, która szła z równą działalnością i pośpiechem, jak dawnemi czasy.

Pomimo skazania Piotra Bernarda na karę, brat jego Julian nie przestawał pracować w fabryce. Żył jednak w pewnem osamotnieniu. Niepokój jakiś pomięszany ze wstydem ogarniał całą jego postać, gdy się znajdował w gronie swych towarzyszy.

(*) Notre Dame-de-Brebiére. (*Przyp. Redak.*)

Nie wstawał wcale z miejsca i rzadko kiedy przerywał milczenie, które sam sobie nakazał. Nie miał ani dosyć szlachetności, ani dość mocy charakteru, aby śmiało odpierać zarzuty ciążące na niewinnym Piotrze. Prawdę mówiąc, Julian nie kochał go nigdy, często bardzo Piotr był zmartwiony jego niedobrem postępowaniem, pokazywał się też zazdrosnym względem niego nie tyle może przez zaufanie, jakie Piotr miał w całym domu, ile przez rzeczywistą wyższość rozumu. Co do uczciwości brata, chociaż Julian był niesprawiedliwy względem niego, jednak wewnątrz był nie ledwie pewny, że się ten nie mógł dopuścić tak okropnego czynu, jak morderstwo pana Ferneja. Lecz taka zbyteczna sumienność nie mogła istnieć długo w duszy mściwego brata; pamięć na dawne urazy zagłuszyła wszystko z czasem, i powstał w nim tylko gniew podniecony przez hańbę, na którą był skazany przez to samo nazwisko. Jeśli przyjął do siebie Klemunię to pewno mniéj z politowania, niż dla przyzwoitości. Żona jego, która była brudnie skąpą, skakała ze złości, myśląc o pomnożeniu wydatków, które miała sprowadzać w jéj gospodarstwie obecność nowo przybyłéj. Córka szwagra była nie tylko jéj posługaczką ale jeszcze niewolnicą i popychadłem jéj dzieci. Niegodziwe postępowanie, które od nich znosić musiała, nie wywołało nigdy żadnego zgromienia. Jeśli na nieszczęście zdarzyło się jéj poskarżyć, gdy była ugryziona, podrapana lub zbita przez swoje krewniaczki lub krewniaczka równego wieku co ona, wówczas wymierzano jéj surową karę. Każdéj chwili była obciążona najprzykrzejszemi wymówkami, i co tylko stało się złego w domu, ona była zawsze osądzona jako sprawczyni. Jeśli żona Juliana Bernarda znalazła w kącie jaką szklankę lub talerz stłuczony, to tylko Klemunia była w stanie a nie kto inny popełnić tę niezgrabność. Jeśli które z dzieci upadło, ona go niezawodnie popchnęła, albo nie dosyć dała baczenia. Lecz jeśli brakło kawałka szynki w szafie, cukru w cukierniczce, albo monety jakiéj zostawionéj na stole lub na kominku, wówczas niegodziwość nie miała granic, i głośno obwiniano ją jako córkę galernika.

(Dokończenie nastąpi.)

OJCIEC I SYN

PRZYPOWIASTKA.

Żalił się ojciec na syna,
Że zmłodu siwieć zaczyna.
Na to się ozwał ktoś trzeci:
— Świat dzisiaj *koleją* leci!
— Lecz syn mój, tak jeszcze młody,
Już ma iść z starcem w zawody?
Do pracy z trudem się zmusza,
A kielich wprawnie wysusza;
Jak motyl buja w stolicy,
A hula jak komar przy świécy;
I często z ust mego syna
Dym bucha niby z komina.
Oj, prawda, rączo świat leci!
— Bo dziećmi nie chcą być dzieci.
— Ach! kiedyż szaleć przestanie,
— Aż straci zdrowie, mój panie.

J. Gr.

ROZMOWY OJCA Z DZIEĆMI O FIZYCE.

(Dalszy ciąg.)

Dziurkowatość, massa, gęstość.

NAPISAŁ

Julian Bajer

PROFESOR SZKOŁY GŁÓWNÉJ W WARSZAWIE.

Stanisław. Powiedziałeś nam wczoraj, kochany ojcze, że dwie są konieczne własności każdego ciała: *rozciągłość* i *nieprzenikliwość*, i obiecałeś nam wyłożyć dalsze własności ciał; słuchamy więc pilnie.

Ojciec. Lubo ciała co do swoich cząstek materyalnych są nieprzenikliwe; nie całe jednak miejsce, które one zajmują, zapełnione jest ich cząstkami; znajdują się między temi cząstkami ustępy czyli przerwy, które w niektórych ciałach gołem nawet okiem dojrzeć można. Ustępy te zowią się *porami*, a własność ta ciał zowię się *dziurkowatością*. Pory te zapełnione są zupełnie powietrzem lub innem subtelniejszym płynem. O téj własności spólnéj ciałom przekonywają nas niezliczone doświadczenia, i tak, woda filtruje się przez kamienie mniéj zbite; merkuryusz ściskany sączy się przez skórę miękką, listki złota bardzo cienkie przepuszczają światło i t. d. Wytłoczywszy, przez uderzenie, litery wgłąb na drzewie i sheblowawszy

resztę powierzchni aż do równości z wytłoczonemi literami, to gdy się deszczułka ta w wodę włoży, cząstki natenczas ściśnięte rozepchane zostaną przez wodę wsiąkającą, tak że litery wzniosą się wypukłemi. Porowatość naszego ciała sprawuje, że wielu się pozbywamy humorów i to zowiemy *poceniem się* czyli *transpiracyą*. Transpiracya różna jest co do wieku, spożytych pokarmów, stanu zdrowia i podjętéj pracy.

Od dziurkowatości pochodzi także wsiąkanie cieczy w różne ciała, ale nie w każde ciało wszelka ciecz wsiąka. Marmur np. nie ciągnie w siebie wody, gdy tymczasem oléj, albo tłustość rozpuszczona, mogą weń wsiąkać; przèciwnie drzewo łatwiéj i bardziéj nasiąknie wodą, niżeli olejem lub jaką inną tłustością.

Niektóre ciecze, wchodząc w ciała stałe, powiększają ich objętość. Skutek ten sprawia woda na wszystkich prawie ciałach, w które wsiąka; oléj zaś może wnijść w jakie ciało nie powiększając przez to jego objętości, jak się o tem przekonać można, smarując nim papier. Nawet kiedy jakie ciało nasiąkłe jest olejem, jeszcze w nie woda nasiąka i powiększa jego objętość.

Ciało, w którem skupienie cząstek jest znaczne, mniéj w siebie wody ciągnie, więcéj zaś to, w którém skupienie jest słabe; osobliwie powiększa się objętość takich rzeczy, które od istot organicznych początek swój biorą, jako to części roślinne i zwierzęce suche. Przystosowania są tu następujące: dobroć roboty stolarskiéj na tém zależy, aby drzewo było jak najlepiéj wysuszone i taka robota lakieruje się i pokostuje zwykle, a to dla tego, ażeby wilgoci w siebie nie wciągała. Papier zwilgocony większą objętość przybiera i taki pospolicie przykleja się brzegami do rejsbretu, aby po wyschnięciu, równo ze wszystkich stron był wyciągnięty. Struny, z kiszek zwierzęcych kręcone, od wilgoci przedłużają się i rozkręcają, sznury zaś konopne krótszemi się stają, ale w miarę naciągnionéj wody grubieją. Kamienie nawet mogą być rozłupane, jeżeli w ich szpary wbite będą suche kliny drewniane, a potém wodą polewane.

Z tego że ciała są dziurkowate, możemy nabyć wyobrażenia o znaczeniu tych wyrazów, *massa*, *gęstość:* to jest, zbiór całkowitych cząstek, ciało jakie składających, zowie się jego *massą*; a że sądzimy o massie ciała, ważąc je, przeto wyrazy massa, *waga* biorą się w jednakowem znaczeniu. Jeżeli zaś porównamy wagę ciała z jego objętością, wtedy to porównanie pokazuje jego *gęstość*. A zatem tem większą ma ciało gęstość, im większą jest jego waga, a mniejszą jego objętość; więc kiedy dwa ciała mają jednakowe objętości, to z nich będzie gęstsze, które więcéj waży, np. z tego, że cal sześcienny każdego metalu więcéj waży aniżeli ca sześcienny drzewa, wnosimy, że każdy metal jest gęstszy od drzewa. Albo téż przy jednakowéj wadze to ciało będzie gęstsze, którego objętość jest mniejsza; porównawszy np. objętość łuta merkuryuszu z objętością łuta wody, lejąc je z osobna w naczynia szklanne podzielone na równe części, przekonać się można, że łut wody ma blizko 14 razy większą objętość jak łut merkuryuszu, a ztąd merkuryusz jest 14 razy gęstszy od wody.

Stanisław. W szkole podał nam professor następujące co do tego twierdzenie: Gęstości dwóch ciał są w stosunku prostym mass, a odwrotnym objętości.

Stefania. Co nam ojciec mówił o massie i gęstości, to wszystko bardzo dobrze zrozumiałam, ale twoich stosunków, prostych i odwrotnych nic nie rozumiem.

Helena. I ja także co ojciec mówił, dobrze zrozumiałam, ale twierdzenia professorskiego, któreś ty nam Stasiu przytoczył, nie rozumiem.

Ojciec. Staniław dobrze ujął prawdę tę w twierdzenie, ale wyrwał się z niem nie w swojem miejscu, a zatem wytłomacz znaczenie wyrazów *stosunek prosty* lub *odwrotny*.

Stanisław. Ojcze, spodziewam się, że Stefcia i Helcia zrozumieją to, co im powiem: i tak, jeżeli weźmiemy dwie liczby jednego gatunku i te z sobą co do swoich wielkości porównamy, to jest dochodzić będziemy, ile razy jedna jest większa lub mniejsza od drugiéj, to porównanie takie, zowie się *stosunkiem*, *np.* jeżeli 4, 7. 8. porównamy z 2, to liczby 4, 6, 8, są z kolei 2. 3. 4.. razy większe od dwóch; podobnie jeżeli liczbę 3 porównamy z 6, 9, 12, to liczba ta 3 jest z kolei 2, 3, 4, razy mniejszą od danych liczb 6,9, 12; liczby te zatem tworzą stosunki 4 do 2, 6: 2, 8: 2, i 3: 6, 3: 9, 3: 12. Czyście zrozumiały?

Stefania. Zrozumiałyśmy, ale mówno daléj, ponieważ ty miałeś nam wytłomaczyć dodane wyrazy *prosty*, *odwrotny*, do wyrazu *stosunek*.

Stanisław. Uważajcie: jeżeli za 2 łuty kawy zapłacono 5 zlp. to za 4, 6, 8 i t. d. funtów téj saméj kawy zapłacić będzie trzeba 10, 15, 20, złp. dla tego że 4, 6, 8, jest 2, 3, 4, razy większem od 2, a tem samem też trzeba dwa, trzy, cztery razy więcéj zapłacić jak 5 złp. czyli należy zapłacić 10, 15, 20, złp. Stosując to do naszego zadania, widzimy, że przy téj saméj objętości ilukolwiek ciał, gęstości ich będą dwa, trzy, cztery razy większe od jednego z nich podług tego jak massy tych ciał będą dwa, trzy, cztery razy większe od massy tego ciała. Tu gęstości rosną jednocześnie z massami czyli gęstości są *w stosunku prostym* mass, a w ogólności, kiedy jedna liczba jest *większą lub mniejszą* od drugiéj tyle razy, ile razy trzecia jest także *większą* lub *mniejszą* od czwartéj, to wtedy pomiędzy temi liczbami *zachodzi stosunek prosty*. I podobnie jeżeli jakiekolwiek liczby *rosną lub maleją*, kiedy inne im odpowiedne *maleją* lub rosną, to liczby te są *w stosunku odwrotnym*, i tak, kiedy objętości ciał rosną, to gęstości ich maleją i podobuie kiedy objętości maleją, to gęstości ich rosną; gęstości zatem ciał są w stosunku odwrotnym swoich objętości. Wiem pewno, że teraz rozumiecie to twierdzenie: *Gęstości ciał są w stosunku prostym swoich mass, a odwrotnym swoich objętości.*

Helena. Dziękujemy ci za tak jasne wytłomaczenie tych wyrazów, *stosunek prosty, stosunek odwrotny*.

Ojciec. Dobrześ, Stasiu, odpowiedział na zadane sobie pytanie.

Przezroczystość. Ponieważ ciała są dziurkowate, a dziurki jego idą w kierunkach prostych, natenczas ciała takie przepuszczają światło i są *przezroczyste*, jakoto: szkło, kamienie, woda, powietrze i t. d. Nie wchodząc w roztrząsanie tego założenia, zastanowimy się nad doświadczeniami, okazującemi, że przezroczystość ciał zależy na jednostajnéj ich gęstości. I tak papier nasmarowany oliwą staje się przezroczystym, woda czysta jest przezroczystą, zmącona zaś jest nieprzezroczystą. Szkło na kamieniu starte czyli tak zwane *mat*, jest nieprzezroczyste, omoczone zaś wodą staje się przezroczystem. W pierwszym przykładzie, oliwa napełniwszy dziurki papieru, bardziéj przystępuje swoją gęstością do gęstości papieru aniżeli powietrze; w drugim woda zmącona jest dla tego nieprzezroczystą, że pomiędzy cząstką wody przez jéj mącenie wchodzi powietrze, które co do gęstości znacznie się różni od gęstości wody; w trzecim nakoniec szkło *mat* jest nieprzezroczystem dla tego, że powietrza gęstość różni się bardzo od gęstości wody, szkła zaś zmoczonego dziurki są napełnione wodą, któréj gęstość bardziéj się zbliża do gęstości szkła, aniżeli powietrza.

RADY GOSPODARSKIE.

Wytępienie wołka żytniego w zbożu. Wiadomo powszechnie, ile te robutki przyczyniają szkody w gospodarstwie; zrządzają one niemałe spustoszenia i w tym roku, jakoto co tylko czytaliśmy w Numerze 214. *Kurjera Codziennego*, gdzie gospodarz ziemianin wzywa usilnie o skuteczny środek na wytępienie tych szkodników. Czerpiąc wiadomość z naukowego źródła, podajemy dwa sposoby na ich wyniszczenie w zbożu. A mianowicie: należy rozstawić w śpichrzu po różnych miejscach naczynia ze smołą, któréj woń nieznośna dla wołka zmusza go w przeciągu dni kilku opuścić zboże. Sposób następny także korzystnie się używa: do żyta zagrzebują się żywe raki, które, rozkładając się, wydyja z siebie woń również tak nieznośną dla wołka, że tenże zupełnie wytraca się ze zboża.

ZAGADKA.

Co to jest?

W skrzętnéj dłoni rzemieślnika
Ostrze moje w głąb' przenika;
Lub też płynę jako rzeka
Od Warszawy niedaleka.

Znaczenie poprzedniéj zagadki. — „*Stół*.“

Sprostowanie. W przeszłym Numerze na str. 303 w szpalcie 1, wiérszu 16, zamiast *łowienia* należy czytać *pieczenia*; w wierszu p. t. *Postęp* w zwrotce 3éj zam: *spekulacje* czytać *spekuluje*.

Redaktor i Wydawca, Józef Grajnert. — w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.